Nr. 5. Warszawa, dnia 19 (31) Stycznia 1872 roku. ROK VIII.

Serya trzecia.

Cena prenumeraty:

Na prowincyi.
rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

W Warszawie:
rocznie rs. 3 kop.—
półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie — „ 75
miesięcznie — „ 25

OPIEKUN DOMOWY.

Wydawczyni, Kazimiera Mosch.

Biuro Redakcyi: w Warszawie, ulica Chmielna (blizko Nowego-Świątu), Nr. 3 (nowy).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka ul. Senatorska Nr. 496; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

UDZIAŁ RODZICÓW W WYCHOWANIU DZIATEK

przed rozpoczęciem nauki elementarnéj.

Jakżeż szerokiém jest pole wychowania dziatek, dobiegających do lat sześciu! Na ileż rzeczy, zwracać tu należy uwagę swoję! Setki ócz, uszy nie wystarczają tu jeszcze. Pomyśléć tylko o tém, jak rozwijać dobre przymioty serca,—jak szczepić zamiłowanie pracy, porządku, posłuszeństwa, wdzięczności i uprzejmości,—jak zapobiegać wybrykom charakteru,—jak niszczyć w zarodku upór, złość, niezgodę, chciwość i tym podobne grzeszki dziecięce,—jak czuwać nad rozwojem ducha samego i piérwszych wrażeń zmysłowych: a spostrzeżemy przed sobą cały szereg pytań, z których każde osobnéj wymaga rozprawy. Wejdźmy od razu w rzecz samę.

Zdaniem naszém, przy wychowaniu dziatek na trzy główne punkta uważać należy. Piérwszym i najważniejszym z nich jest: umiéć *rozwijać przymioty serca i charakteru*. Faktem jest, że w najlepszém nawet dziecku, pokazują się ślady uporu, kaprysu, zarozumienia. Grzeszki te należy tłumić w zarodku jak najsystematyczniéj. Należy zbadać przedewszystkiém indywidualność dziecka, a pokaże się, że jednemu dasz radę użyciem gromkiéj powagi i surowości, dla drugiego wystarczy miłość i słodycz ojcowska, innemu znów trzeba się dać poznać i surowością i słodyczą zarazem. Kto badał dzieci zblizka, zauważył niejednokrotnie, że one same jakoś i zręcznie i dowcipnie wymacają instynktem, co wolno, a czego nie wolno czynić. Staraniem rodziców powinno być zatém, rozszerzać umiejętnie zakres tych piérwszych skrupułów serca dziecięcego, i rozniecać troskliwie każdą taką iskierkę zacnego poczucia,—małe zaś nawyki do złego tłumić, i niedopuścić bezwarunkowo recydywy. Od tych bowiem piérwszych chwil, od piérwszych wrażeń, zależy przyszłość dziecka: tu początek moralnéj i społecznéj wartości człowieka. Jeden wyraz, jeden fakt, jedno schybienie, lub jedna szczęśliwa chwila z tych lat dziecięcych, stanowią o losie przyszłego człowieka. Świętym rodziców obowiązkiem będzie zatém, usuwać z przed oczu dzieci to, coby mogło obrazić w czémkolwiek lub przytłumić poczucie moralności i sumienia. Czyste jak łza pożycie rodziców, przykładne poszanowanie i przestrzeganie pracy, przyzwoitości i bogobojności, powinno być ciągłym wzorem dla dziatek. Począwszy od ojca a skończywszy na czeladzi, w domu i poza domem—wszystko powinno oddychać ciepłem życia lepszego. Każde, choćby najmniejsze schybienie w téj sprawie żywotnéj, grozi rozsypką podwalin społecznych. *Czarne punkta* roku 1871, wymownem i wiekuistém będą świadectwem, do czego prowadzi lekceważenie zasad *wzorowego wychowania*.

Dodawać nie potrzebuję, że bez religji nie rozwiniem należycie przymiotów serca dziecięcego. „*Od Boga zaczynać i kończyć na Bogu*”—to odwieczne hasło ludzkości; znajdziesz je tak dobrze w środkowéj Afryce, jak w kościele chrześcijańskim. Bez religji, można wprawdzie stać się nietylko wielkim, ale i pożytecznym nawet. Ale być „wielkim i pożytecznym”,—rzecz względna: dla jednych, wielkość i pożyteczność czyjaś, bywa przyczyną szczęścia i powodzenia,—dla drugich, jest ona przyczyną nieszczęść, łez i ruiny. Często wielcy ludzie nie przebierają w środkach — po takich wielkościach, nie wdzieje ludzkość żałoby, nie zatęskni drugi raz za nimi. *Wielkość* i *pożyteczność* bez religji, pozostanie zawsze tylko rzeczą problematyczną, a po ściślejszym z nią obrachunku, okaże się w dodatku anomalją społeczną. Matek naszych staraniem niechaj będzie zatém: czuwać troskliwie nad religijną stroną wychowania. Nie dać położyć się dziecku bez pacierza do łóżeczka, nie dać mu wstać rano bez wzniesienia myśli do Boga,—z dzieckiem się modlić, z dzieckiem myśléć, z dzieckiem żyć duszą, myślą i uczynkiem,—oto *zadanie* matki chrześcijańskiéj.

Za tém nie idzie jednakże, ażebyśmy z dzieckiem nazbyt długie odbywać mieli nabożeństwa. Niech dziecko mówi swój paciorek jak tylko szczebiotać zacznie, ale niech go mówi krótko, ale z tém goretszém przejęciem. Religijne bowiem wychowanie dziecka zależéć będzie ostatecznie tylko od ducha religijnego, jakim tchnie dom i rodzina cała. W domu chrześcijańskim (w prawdziwém tego słowa znaczeniu), obejdzie się bez długich kazań. Kto widzi słońce na niebie, temu dowodzić nie potrzeba, że jest dzień,—jak nie tłómaczym człowiekowi mającemu zdrowe oczy, że ten kwiat jest czerwony, tamten biały, ta droga prosta a ta krzywa. Zasada powinna tu być w ogóle taka: modlić się z dzieckiem co rano i wieczór, ale krótko; długie modlitwy sprzeciwiają się naturze dziecka; kto zaś pójdzie krok daléj, da początek obłudzie religijnéj, która gorszą jest w tym razie od jawnego ateizmu. Ludzie, którzy w pewnym przeciągu czasu tyle a tyle modlitw odmówić muszą, odmawiają je po większéj części machinalnie. Religja jest dla nas słońcem, które nas ma ogrzewać i oświetlać, a nie pochłaniać broń Boże, ażeby być samém na świecie.

Z wychowaniem religijném, wiąże się ściśle inna, również ważna kwestya, a tą jest—charakter dziecka. Dzieci nasze, mają być tak dobrze jak starsi—istotami *samodzielnemi*. Kto dopiął w dzieciach tego celu, ten je odchował dobrze i może za to dziękować Bogu, bo z nich będą ludzie, zdolni wytrzymać wszystkie burze tego świata. Niestety, bywa inaczéj! Ta strona wychowania, ta ważna część dotycząca charakteru dziecka, leży po większéj części odłogiem. I tém się też tłumaczy takie mnóstwo owych trzcinek wiotkich, któremi lada powiew igra do woli. Charakter nie jest rzeczą przyrodzoną; trzeba go wyrabiać.

Chodzi o to głównie, ażeby dziecko umiało się odznaczyć pewną dzielnością serca. Niech się uczy od małego, trzymać na wodzy swe ciałko i duszę. Ku temu prowadzi dróg wiele. Należy przedewszystkiém, przyzwyczajać je do wytrwałości na daném stanowisku, choćby nawet szło tylko o cacko lub rozrywkę; niech nie przebiera, niech nie zmienia gustów i zechceń. Niech uczy się poglądać na rzeczy spokojnie i trafnie, niech je bada poważnie i wytrwale, dopóki nie dotrze do celu. Niech działa daléj *samo*, bez cudzéj pomocy mianowicie tam, gdzie jéj nie potrzeba zgoła. Ilekroć więc nie powiedzie się dziecku to lub owo, pokażcie mu bez zwłoki, w czém leży przyczyna niepowodzenia, ażeby się nie nauczyło tracić nadziei otuchy do pracy.

Że złemu w zarodkach zapobiegać należy, o tém mówiliśmy powyżéj. Co jest grzechem, nazywaj grzechem i nie nakrywaj go płaszczykiem. Słabość, nazywaj słabością, prostactwo—prostactwem, nikczemność—nikczemnością. Niech wié dziecko, czego się ma *wstydzić* w życiu, a czém pochlubić:—w tém leży właśnie źródło godności osobistéj. Kierować charakterem dzieci, nie jest zadaniem tak dalece trudném: okażmy im tylko więcéj stanowczości. Wola rodziców powinna tu stać murem nieprzebytym, a dzieci nie zechcą go przebijać swoją główką.

Drugiém z kolei zadaniem rodziców, w domowém wychowaniu dziecka, jest: *czuwać nad rozwojem wrażeń zmysłowych*. Umiéć rozwijać władze zmysłowe dziecka, umiéć pokazać mu, jak ma używać zmysłów, to czynnik niezmiernie ważny w wychowaniu. Zmysły są niejako drutami telegraficznemi, łączącemi umysł dziecka ze światem zewnętrznym. W początkach, oczywiście nie działa jeszcze wyraźnie ta maleńka bateryja wrażeń zmysłowych, ale zczasem zaczyna działać w stosunkach niezmiernie szybkich i natarczywych. U jednych wychodzi działanie téj bateryi z organu słuchu, u innych

ze wzroku, u innych nareszcie rozpoczyna się ruch i życie jednocześnie w obu organach. Ale kopje i depesze téj telegraficznéj czynności, przychodzą do tego biura maleńkiego, w bardzo niewyraźnych rysunkach. Po upływie pewnego czasu, wzmaga się czynność aparatu, natura zaczyna dokładać swoich pierwiastków, a tak z maleńkiego biura telegraficznego, staje poważna stacya wrażeń dziecięcych. Już dziecko zaczyna żyć świadomie, zaczyna się rozglądać po świecie—postrzega—dziwi się - wyróżnia przedmioty, słowem: zmysły się budzą — dziecko chce żyć, myślić i działać. Rodzą się w duszyczce wrażenia, pojęcia, wnioski, sądy, zadania, uczucia i tym podobne objawy i dowody, że dziecku potrzeba już naszéj pomocy.

Tu pole i zadanie dla rodziców i nauczycieli niezmiernie ważne—tu czas śledzić za ruchem tych władz umysłowych i kierować niémi umiejętnie. Należy mianowicie przyzwyczajać dziecko do tego, ażeby na wszystko, cokolwiek mu się pod zmysły nawinie, umiało patrzéć ze strony właściwéj i odpowiedniéj wiekowi i ażeby w tém wszystkiém czynną była przedewszystkiém uwaga jego. Wielka bo to sztuka w wychowawczéj nauce dzieci, umieć przyzwyczaić je do pewnego spokoju i taktu, który im pozwala obejrzéć rzecz z uwagą i umiejętném zastosowaniem.

Pole to jak stworzone dla matki. Matka jest najbliższą istotą dziecka, matka najczęściéj koło niego się krząta, więc też najczęściéj ma sposobność obserwować swoje złotko. Matka zresztą, najwięcéj ma cierpliwości i zdolności przyrodzonych, do rozwijania i podniesienia zmysłowych wrażeń dziecka. Matka sama może tu dokazać więcéj, niżeli całe zastępy uczonych nauczycieli i pedagogów. Dla tego to, powinny kobiéty nasze być przedewszystkiém *matkami.* Nie mówię, iżby się tu pozbyć miały koniecznie pomocy piastunek, bon i guwernantek,—nie; tylko należałoby, nie oddawać dzieci tak wcześnie i bezwarunkowo, opiece ludzi obcych. Każda zatem matka, powinną się poświęcić całą duszą tym pierwszym objawom życia zmysłowego, a nie polegać na nikim. Niech przestrzega mianowicie, ażeby dziecko umiało słyszéć i patrzéć, bo wiadomo, że dzieci patrzą a nie widzą, słuchają a nie słyszą. Pieszczoty, rozmowy i rozrywki wszelkiego rodzaju, powinny miéć zawsze tylko na celu rozwój zmysłów. Rączka, nóżka, nosek, ucho, główka, usteczka— wszystko to daje matce niewyczerpane temata do budzenia i podniecania wrażeń niemowlęcia.

„Ot, moje dziecię (rzecze np. matka), to twoja nóżka, a to rączka!—Podaj mi rączkę—tak! A teraz pokaż mi, gdzie oczko twoje? gdzie ucho? włoski? usteczka? Gdzie zégarek ojca? gdzie lalka, pajac, zabawki? Podaj mi teraz lalkę! Podaj piłeczkę! połóż ją na stół! rzuć ją! Zanieś bacik pod piec! postaw tego pajaca pod stół! Przynieś mi szczotkę, grzebień, nożyczki, nici, czapeczkę! A zkąd masz to jabłko? Czyś już widział jabłko? gdzie rosną jabłka? A czy też słyszysz, jak ten zegar bije? To jest zegar ścienny, a to kieszonkowy!"—i tak daléj, i tak daléj. Otóż to jest właśnie forma, to treść, to sposób pierwszych rozmów matki z dwu i trzyletniémi dziećmi. Rozumie się samo przez się, że ojca nie można tu stawiać jeszcze na pierwszym planie; ale też nie powinno go to czynić obojętnym na ten pierwszy rozwój niemowlęcia. Wiedziéć powinien przynajmniéj, jakie są postępy dziecka i wnikać raz po raz w tę pracę maleńką: jego obecność, jego słowo, jego oko i postawa, przyczyniają się nieraz dzielnie do całości i harmonji wychowania. Szczęśliwy ojciec, którego dziecko pyta już także o znaczenie tego lub owego przedmiotu; żądań i pytań jego, niech nie odpycha bynajmniéj, chociażby mu się one natarczywością swoją uprzykrzyć miały, — owszem, niech odpowiada na wszystkie pytania i niech się cieszy, że dziecko ma już uszy i oczki otwarte na świat boży.

Trzecim nareszcie czynnikiem w wychowaniu dziatek są: gry i zajęcia dzieci. Jak młodym zwierzętom tak i dzieciom, upodobanie w igraszce, zdaje się być rzeczą przyrodzoną. Niemowlę mające zaledwie kilka tygodni, igra już z włosami i wstęgami matki. Kiedy zaś podrośnie w ciałko kształtne, kiedy mu błyśnie po główce pierwsza gwiazdka świadomości, już też wtenczas wyciąga rączęta aby się bawić.

Ale dziecko rośnie. Zmysły jego budzą się. Rosną siły, wzmaga się ruch i życie — i znowu dziecko wyciąga ręce, by je zużytkować jakoś — znowu się bawi.

Zwolna atoli poznaje dziecko świat zewnętrzny: spogląda na ludzi, na zwierzęta, na ruch, na życie dokoła. I ono chciałoby tu być czynne — próbuje więc skrzydełek — naśladuje — maca — szuka — i znowu się bawi.

Późniéj, kiedy już systematycznie i obowiązkowo pracować zacznie, budzi się w niém gorąca chęć wypoczynku i urozmaicenia życia. I znowu się bawi.

Jakież więc mogłyby tu być powinności rodziców? Zdaniem mojém, nie można i niewolno patrzeć się obojętnie na rozrywkę dzieci, owszem, należy czuwać nad nią troskliwie, podniecać, prostować i gdzie tego potrzeba, własném ogrzéwać ciepłem. Niechaj dziecko ma zawsze i wszędzie pod ręką właściwą dla siebie rozrywkę, gdyż bez niéj zanudziłoby tak siebie jak rodziców, a nuda zakradłaby się pomaleńku także i do pracy.

Przedewszystkiém uważać należy na charakter rozrywki. Przemysł XIX stulecia dostarcza dzieciom nieprzebranych tematów do zabaw. Należałoby tedy z tych zabawek wybierać tylko te, które prócz wabności swojéj, podają dziecku także dużo zajęcia, dużo kombinacji i czynności różnorodnych. Dla dziecka pięcioletniego, lepszą jest kupa sypkiego piasku aniżeli stereoskop: tu ono może być czynném dowoli, kombinować, tworzyć i cieszyć się z pomysłów swoich, bo taka zabawa nie krępuje ducha—a to właśnie rzecz najważniejsza.[1])

Uważajmy tu między innemi na wiek dziecka! zdaje się że to kwestja powszednia, pospolita, nie potrzebująca osobnéj nauki. A jednak ileż to błędów, ile grzechów przeciw téj zdrowéj zasadzie, *ażeby nie dawać dziecku tego, co się nie zgadza z jego wiekiem.* Tu widzę dziewczynkę trzyletnią przed sztucznym teatrzykiem! tam znów czteroletni Jasio bawi się składaniem kuli ziemskiéj! gdzie indziéj przed pięcioletnim Józiem stoi *camera obscura* — ot i tak zarzucamy dzieci przedmiotami, których zgoła nie rozumieją. Bawi nas to, że się i dzieci bawią, ale przez myśl nam nie przejdzie nawet, *jak* się bawią lub bawić powinny. Zostawiamy je zwykle same — radzi i szczęśliwi, żeśmy się ich na chwilkę pozbyli... Otóż jeżeli chcesz matko i pragniesz szczerze, aby się dziecko bawiło z korzyścią, nie opuszczaj go nigdy, ale zbliż się sama do niego, *pomóż* mu się bawić, podzielaj z niém uciechę, i bądź też sama także dzieckiem! Od zabawek i rozrywek, nad któremi *czuwają* rodzice, zależy przyszły charakter dziecka, oraz zamiłowanie do pracy, porządku, systematyczności, wytrwałości i punktualności w dalszém życiu człowieka.

Najlepszą szkołą, najlepszą rozrywką dla dzieci jest—przyroda. *Tam* je prowadźcie! Niech zajrzą dziatki do ula, do gniazdka lub mrowiska, niech podziwiają niezmordowaną pracowitość, zmysł i pożycie stworzeń bożych. Niech się uczą nazywać i wyróżniać drzewa w polu i lesie; pokażcie im, gdzie i kiedy rośnie kwiatek, lub jakie z niego mamy pożytki; każcie im wnikać nawet w drobiazgi: niech oceniają, który z dwóch kamieni jest cięższy, które drzewo grubsze, który kwiat ma woń przyjemniejszą, który ptaszek śpiewa piękniéj od drugiego. Taka rozrywka, taki tryb życia rozwija umysł, zaostrza zmysły, podnieca wyobraźnię, uwagę, pamięć i sąd o rzeczy. Dzieci, które przy pomocy rodziców przebyły taką szkołę, trzeźwiéj i szybciéj od innych pracować będą. Bez téj propedeutyki, niemoże być mowy o przygotowaniu dziecka do poważniejszéj nauki: wykłady szkolne już potém nie zapełnią téj luki w pierwiastkowém wychowaniu dzieci i już ich nie ogrzeją i nie pociągną ku sobie.

Obym mógł słowy temi, przelać w ojce i matki nasze to szlachetne przekonanie, że niema na świecie nic słodszego, nic tak błogo i czarująco do serca przemawiającego, jak troska o dobro dziatek. Cieszy nas przecież widok drzewka posadzonego własnemi rękoma naszemi, cieszy widok ogródka, któryśmy sobie sami urządzili, cieszy kwiatek któryśmy posiali, cieszy nas każdy nowy listek, każdy pączek jego — o ileż tedy większą i słodszą musi być rozkosz ojca i matki na widok dziecka ukochanego, rozwijającego się spokojnie, wzorowo i szczęśliwie pod ich okiem. *August Jeske.*

O PRACY UMYSŁOWÉJ
w stosunku do pracy fizycznéj.

ODCZYT PUBLICZNY

JULIANA OCHOROWICZA,

odbyty w dniu 30 Grudnia 1871 r. (10 Stycznia 1872 r.)

w sali Resursy Obywatelskiéj w Warszawie.

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 3.)

Uważaliśmy dotychczas pracę umysłową w jéj największém odosobnieniu od pracy mechanicznéj; pospolicie jednak nie bywa ona

[1]) Pod tym względem nieocenionym dla dzieci nabytkiem są, *Gry i zajęcia* „Froebla," zastósowane do potrzeb naszych i wydane bardzo umiejętnie staraniem i nakładem p. *Adama Wiślickiego.* Cała kollekcja zabawek Froeblowskich w jednéj skrzynce zawartych, obejmująca przedmioty dla dziewczynek i chłopczyków kosztuje rs. 10. Wyłącznie dla dziewcząt rs. 8, dla chłopców rs. 6 kop. 50. Są i ozdobniejsze edycje. Przesyłka pocztowa 1 rs. Gry te polecamy gorąco rodzicom naszym. Literatura nasza nie posiada pod tym względem nic sympatyczniejszego i pożyteczniejszego jak ten Zbiór *gier i zajęć* dziecinnych.

tak odosobnioną, ani to nie leży w interesie nauki i sztuki, ażeby myśliciel, rachmistrz, wynalazca lub poeta, wysilał swój umysł na pracę oderwaną od wrażeń, ażeby koniecznie w pamięci układał cały poemat, w pamięci kreślił cały model wynalazku, w pamięci rozwiązywał najtrudniejsze zadania, lub dyktował pięć listów na raz, albo grał 3 partyje szachów z zamkniętémi oczyma. Biegłość tego rodzaju, będzie zawsze tylko rodzajem gimnastyki umysłowéj; sztuką łamaną, nieszkodliwą, jeśli nam łatwo przychodzi, ale niedorzeczną, jeśli dla jéj produkowania poświęcamy czas i zdolności. Że ktoś uważa za właściwe chodzić po linie z workiem na głowie, i przez to budzi w jednych podziwienie, w drugich litość, — to nie znaczy jeszcze, ażeby chodzenie po zwykłéj drodze i z otwartémi oczyma, było mniéj pożytecznem lub mniéj godném człowieka.

Jeśli mówimy o kim, że pracuje umysłowo, to nie rozumiémy przez to, że całemi godzinami, zamknąwszy zmysły na wrażenia, leży nieruchomie i wysila się na oderwane myślenie lub komponowanie w pamięci — chcemy tylko powiedziéć, że człowiek ten pracuje więcéj umysłem, niż ciałem, że studjuje pewną naukę, czyta, słucha wykładów, robi doświadczenia, tłómaczy, sam wykłada lub pisze — jedném słowem, pracę jego umysłu uważamy zawsze w łączności z pewną pracą zmysłów i muskułów.

Tak pojęta praca umysłowa, ma niezmiernie rozległe zastosowanie, i usunięcie jéj, znieważyłoby na raz całą, prawdziwie ludzką działalność, wszystkie owoce postępu, wszystkie instytucyę, wyróżniające pracę ludzką od pracy zwierzęcéj.

Cały ten obszar pracy umysłowéj, możemy podzielić na 3 wielkie działy: na pracę *przyswajania wiadomości*, na pracę *reprodukcyi*, i po trzecie, na pracę *twórczą*. Do piérwszego działu należyć będzie: słuchanie, czytanie, uczenie się w najobszerniéjszém znaczeniu tego wyrazu. Do drugiego, wszelkie rodzaje pracy polegające na *odtwarzaniu* nabytych wiadomości, jak: tłómaczenie, opowiadanie, uczenie drugich, deklamacya, wreszcie gra sceniczna, stanowiąca przejście do pracy twórczéj, czyli produkcyjnéj. Krasomóstwo należyć już będzie do właściwéj pracy *twórczéj*, stanowiącéj trzecią gruppę samodzielnéj czynności umysłu w naukach, sztukach i przemyśle.

Praca *przyswajania*, praca *reprodukcyi* i praca *twórcza*, obejmują w sobie cały obszar pracy umysłowéj ludzkości — a tém samém, przedstawiać muszą tysiączne przejścia od jednego rodzaju działalności do drugiego.

Pierwsza gruppa i trzecia, jako więcéj wybitne, przedstawiają więcéj interesu i dlatego też na nich zatrzymamy naszę uwagę.

* * *

Co się dzieje w umyśle człowieka, który słuchając ustnego wykładu, rozumié go? Do ucha jego dochodzą dźwięki wyrazów, — nic więcéj; proces fizyczny polega tylko na ciągłém przesyłaniu drgań powietrza stanowiących dźwięk mowy, z ust mówiącego w ucho słuchacza. Jednakże, dla słuchającego, proces słuchania nie jest prostém ujmowaniem dźwięków. Słuchacz, nietylko słyszy mowę, ale i rozumié? Na czém polega to rozumienie? Zamiast odpowiedziéć wprost, zrobię jeszcze jedno pytanie: Czy słuchacz rozumiałby myśl prelegenta, gdyby ten wykład ł w obcym dla niego języku? — Zapewne że nie, — choćby nawet każdy wyraz słyszał najdokładniéj. Wyrazy bowiem słyszane, pozostałyby dla niego samym dźwiękiem — niebudziłyby w jego umyśle żadnych obrazów, żadnych pojęć.

Gdy wymawiam wyraz *„kościół,”* to w umyśle słuchaczów, dźwięk ten budzi wyobrażenie gmachu kościelnego, albo też pojęcie Kościoła, jako pewnéj korporacyi religijnéj — i dlatego też gdy powiem:

„Kościół św. Stefana w Wiedniu należy do najpiękniejszych zabytków sztuki gotyckiéj” — albo też:

„Od wielu lat kościół i państwo toczą z sobą walkę,” — to każdy z wymienionych w téj chwili wyrazów, obudził w umyśle słuchacza przywiązane do niego wyobrażenie lub pojęcie, i myśli przezemnie wypowiedziane były dla każdego zrozumiałémi.

A zatém, proces rozumienia rzeczy słyszanéj polega na tém, *że dźwięki wyrazów, obudzają i uprzytomniają w myśli słuchającym, przywiązane do nich wyobrażenia i pojęcia.* Ile razy dźwięki wyrazów nie obudzają w umyśle słuchacza odpowiednich im wyobrażeń i pojęć, tyle razy mowa pozostaje niezrozumiałą.

Pochlebiam sobie, że w téj chwili doświadczenie to nie miało miejsca. Przy czytaniu książki, proces umysłowy jest zupełnie ten sam, różnica zachodzi tylko w tém, że tu nie dźwięki mowy, ale postać i układ liter obudzają i uprzytomniają w umyśle szeregi odpowiednich wyobrażeń i pojęć.

Ale, mógłby ktoś zarzucić, jakimże sposobem słuchanie lub czytanie mogłoby być środkiem nabywania wiadomości, jeśli dla zrozumienia rzeczy słuchanéj lub czytanéj, potrzeba już miéć w duszy wszystkie przywiązane do wyrazów wyobrażenia i pojęcia?

Odpowiedź na to bardzo prosta.

Czytanie lub słuchanie wtedy tylko mogą być środkiem nabywania wiadomości, kiedy słuchacz lub czytelnik jest do ich przyjęcia przygotowanym; kiedy wyobrażenia, którémi się posiłkuje mówca lub autor dla wyrażenia swych myśli, nie są mu obce. To nie ulega wątpliwości. Autor, może tylko tworzyć w umyśle czytelnika *nowe zestawienia wyobrażeń*, obudzać w nim nowe *myśli*, objaśniać przez zestawienie wyobrażeń i pojęć znanych — nieznane wyobrażenia i pojęcia; ale nowych wyobrażeń zasadniczych, szczegółowych w nim nie stworzy. Dlatego też ani prelekcya, ani książka, nie mogą być piérwszą szkołą wiadomości. Piérwszéj i niezbędnéj nauki uczy nas sama natura, uczy mimowolna nawet obserwacya przedmiotów otaczających, doświadczenie własne, bez którego żadna książka, żadna mowa, rozumu w dziecku nie otworzy.

Niemniéj jednak słowo żywe i słowo martwe pozostaną zawsze potężnémi środkami krzewienia oświaty i postępu nauk. Prelekcya lub książka, spełnią zawsze swą missyą, — jeśli tylko autor umiał je opracować w ten sposób, ażeby wyobrażenia i pojęcia szczegółowe, wchodzące w skład jego myśli, nie były obce téj sferze czytelników, dla których książkę przeznacza. W przeciwnym razie cel będzie zawsze chybiony.

* * *

Przyswojenie wiadomości zapomocą czytania lub słuchania, jeśli ma być umiejętném, wymaga natężenia uwagi. Natężenie takie przez dłuższy czas trwające, męczy — dlaczego męczy? — Zobaczymy to następnie—tym bardziéj, że wkrótce każdy z Szanownych Słuchaczy będzie miał sposobność, zrobić spostrzeżenie na sobie samym.

Dziecko, uczące się w szkole, pracuje słuchając i czytając. Przy dzisiejszym układzie lekcyj, sześć godzin natężonéj uwagi, byłoby zbyt uciążliwém wysileniem, gdyby wszystkie godziny z kolei schodziły na saméj nauce. Wiadomo, że tak nie jest.

Z pomiędzy uczących w danéj szkole, zwykle tylko dwóch lub trzech jest w stanie przez całą godzinę zatrzymać i kontrolować uwagę dziecka, już to umiejętnością wykładu, już też powagą i surowością nadzoru — inni, pozwalają dzieciom na bezustanny gwar i ruch mniéj lub więcéj widoczny; nie umieją, ani powabem nauki, ani siłą taktu, utrzymać owéj kościelnéj ciszy, będącéj w szkołach publicznych nieodzownym warunkiem nauki. Tym sposobem natężenie myśli i uwagi obok bezczynności fizycznéj, nie jest ciągłém, a tém samém nie tyle męczy młode umysły. Czy jednak nie byłoby korzystniéj zajmować mniéj godzin, ale zajmować sumiennie — to inna kwestya.

Umysł dziecka w szkole jest jakby workiem, w który każdy z nauczycieli kolejno usiłuje napakować jak najwięcéj wiadomości — jaki zaś jest stosunek tego czego uczono, do tego czego nauczono — wiémy wszyscy. Nauka sypie się w ów worek jak z rogu obfitości, ale cóż z tego kiedy najwięcéj obsypuje się po bokach. — Tysiące faktów obija się o uszy, ale nie mogą uwięznąć w mózgu; raz dlatego właśnie, że ich jest tysiące — drugi raz dlatego, że dziecko wstępujące do szkoły, nie umié patrzéć, nie umié słuchać, nie umié myśléć. Nie kształcono jego uwagi na drobnych otaczających przedmiotach, nie rozwijano myśli objaśnianiem najpospolitszych zjawisk, — przeciwnie, — zarzucając je bezmyślnie zabawkami, prowadzą przedwcześnie po kościołach i teatrach, uczono ujmować naraz wiele rzeczy, nie dając mu zrozumieć żadnéj — uczono powierzchownego sądu, roztargnienia i lekkomyślności — uczono na pamięć rzeczy, których dziecko nie było wstanie zrozumiéć, wyrabiając w jego umyśle przekonanie, że nauka jest właśnie pamiętaniem tego, czego się nie rozumié.

Wytępiano wrodzoną dziecku ciekawość do nauki, pozostawiając bez odpowiedzi bezustanne jego zapytania, dotyczące zjawisk codziennych, na które nie umiano lub nie chciano odpowiadać. Jedném słowem, nie zrobiono nic, coby przygotowało grunt do przyjęcia ziarna — cóż się stanie, jeśli i to ziarno, które nań rzucą, nie będzie tak zdrowém, jakby tego pragnąć należało?

Zanadtośmy przywykli do uważania pracy za karę bożą — i zanadto szafujemy karą, gdy chodzi o pracę. Czyż nie widziano dzieci z płaczem biorących za książkę, z płaczem pędzonych do szkoły? Czyż nie widziano pedagogów, wyrywających garściami włosy z głowy ucznia, ażeby mu ją pojętniejszą uczynić? targających go za uszy dla nadania mu więcéj przenikliwości? odbierających mu wstyd dla wzmocnienia w nim ochoty do pracy?

Wszystko to ma być tylko uprawą gruntu; — ale jakież daje ziarno? — Dwanaście godzin greckiego i sześć łaciny tygodniowo! Zaprawdę, jest to środek wystarczający do systematycznego przytę-

piania umysłu, który nieraz całą siłą wrodzonych zdolności rwie się do światła wiedzy, usiłuje przeniknąć tajemnicę otaczających go zjawisk — aż zostawiony sam sobie, z podciętemi skrzydłami wyobraźni, z przeładowaną pamięcią, przytępionym rozumem i z patentem dojrzałości w kieszeni, zostaje wyrzucony z gwaru szkoły, w wir życia.

Tak było i tak będzie dopóki znajomość natury ludzkiéj nie oświeci nas, dopóki nie nauczymy się działać według jéj przepisów i wskazówek. Reformę zacznijmy od siebie. Ani pedagogije pisane dla ojców, ani hygieny dla matek, ani podręcznik dla nauczycieli, na nic się nie zdadzą, jeśli ten ojciec, ta matka, ten nauczyciel, sami od wieku młodzieńczego nie uczyli się obserwować siebie, obserwować dzieci—doświadczeniem własnem zdobywać te prawidła i przepisy, które mają wprowadzić w wykonanie.

Chcąc ulepszyć wychowanie — potrzeba powiększyć liczbę prawdziwych ojców, prawdziwych matek, prawdziwych nauczycieli.

Do nas więc, którzy nie jesteśmy ani jednem ani drugiem, należy zacząć reformę — ale zacząć od siebie. To co jest, nie da się przerobić—ale to co będzie, będzie lepszém, jeśli my będziemy lepsi.

Praca umysłowa uczącego się—budzi w nim początkowo znaczne trudności. Rachunek różniczkowy przychodzi nam daleko łatwiéj, aniżeli tabliczka mnożenia. Pierwszy przykład dodawania, ileż to nas namęczył i nadręczył! Ale potem idzie gładziéj — i z owych tępych głów szkolnych wyrastają nieraz nielada zdolności. Widzieliśmy podobny przykład na Das'em. Każde zamiłowanie jest owocem pracy, każda praca swobodna obudza zamiłowanie. Zamiłowanie to bywa niekiedy tak silne, że przechodzi w nałóg, a nawet w pewien rodzaj namiętności. Ludzie tacy całe życie spędzają nad książką, uczą się jak Mezzofanti 59-ciu języków dlatego tylko, ażeby umiéć się rozmówić z pierwszym lepszym Hotentotem—albo nawet i o tę korzyść nie dbają, poprzestając na samém wewnętrzném zadowoleniu. Przykład tego rodzaju przytacza Dr. Deseuret w swéj „Medycynie namiętności.“

Węgier Mentelli, filozof, filolog i matematyk poświęcił całe swoje życie pracy umysłowéj nabywania wiadomości. Innych potrzeb i upodobań, zdawał się nie miéć wcale. Żył w najustronniejszym zakątku Paryża, wyznaczonym mu z litości, usunąwszy wszelkie wygody, niebędące niezbędnemi do życia. Życie tego rodzaju kosztowało go 7 sous dziennie, z tych 3 szło na pokarm, a 4 na oświetlenie. Pracował bowiem 20 godzin dziennie—przerywając czytanie raz w tygodniu, dlatego tylko, ażeby dać lekcyę matematyki, któréj zapłata wystarczała mu na kupno ziemniaków, które gotował nad lampą czytając, i oleju dla napełnienia lampy. — Było to wszystko czego potrzebował. Sypiał w staréj pace drewnianéj, w którą podczas pracy wkładał nogi, okrywając je słomą. Gdy w 1814 r. kule sprzymierzonych mocarstw padały w stronę jego mieszkania i gdy uciekający radzili mu ujść wraz z niemi, odpowiadał: „Co mnie się mieszać do tego że ktoś tam strzela—niech sobie strzela i dajcie mi święty pokój“. Raz jeden tylko przerwał swe badania, gdy podczas grasującéj cholery, siłą zmuszono go do zezwolenia na oczyszczenie mieszkania. Tak żył lat 30 zdrów, spokojny i szczęśliwy. 22 Grudnia 1836 r. gdy miał już lat 60, wyszedłszy po wodę na stromy brzeg Sekwanny, pośliznął się i utonął. — Mentelli nie zostawił żadnego dzieła, żadnego śladu swych badań trzydziestoletnich.

(d. c. n.)

Z POWODU ARTYKUŁU PANA NIEWIADOMSKIEGO:

„O TRUCICIELKACH W PAŃSTWIE FLORY.“

Podał Dr. Józef Bagieński.

(Ciąg dalszy)

Familja Zrosłogłówkowych (*Compositae*).

Rośliny bardzo liczne, do téj familji należące, z wyjątkiem kilku gatunków sałaty, posiadają po większéj części w sobie gorycz i to w stanie dzikim; przez uprawę całkiem ją tracą, jak w liściach Endywji (*Cichorium Endivia*), w korzeniach Cykoryi zwyczajnéj (*Cichorium Intibus*), w korzeniach Skorzonery (*Scorzonera hispanica*) i t. p. Wspomniany przez p. Niewiadomskiego Dziewięćsił ciernisty, (*Carlina acaulis*), rośnie nie tylko w Pirynejskich górach, ale i w naszym kraju, około Grodna i Trok.

1. Sałata jadowita (*Lactuca virosa*), *Łoczygą* też nazywana. Roślina krajowa, rośnie na miejscach uprawnych; jednak do rzadkich roślin należy. Cała roślina ma zapach mocny, narkotyczny, odurzający. Ze zgęszczonego soku téj rośliny, przygotowuje się tak zwane *Lactucarium*, posiadające własności Opium, w lżejszym wszakże stopniu. Laktukaryum częściéj się przygotowuje z innego gatunku sałaty, *Lactuca Scariola*, mniéj od poprzedzającéj jadowitéj.

Familja Torebkowatych (*Scrophularineae*).

Rośliny z téj Familji, w większym lub mniejszym stopniu, posiadają własności trujące. Między niemi Naparstnica trzyma pierwszeństwo. Nawet u nas w kraju niektóre z téj familji na łąkach rosnące, jak: Dzwoniec pospolity (*Rhinanthus Crista Galli*), Gnidosz błotny i okazały (*Pedicularis palustris*) i *Sceptrum*, a także wszystkie gatunki Pszeńca (*Melampyrum*), nawet w stanie świeżym, od bydła omijane bywają. Wszakże wyjątkiem jest cały rodzaj Przetacznika (*Veronica*), który, jedynie z téj familji, niéma żadnych podejrzanych własności.

1. Naparstnica lekarska (*Digitalis purpurea*). Roślina ozdobna, dwuletnia, z Europy południowéj, u nas w ogrodach kwiatowych dosyć pospolita; należy do trucizn ostrych, zabójczych. Liście jéj przewrotno-jajowate, kutnerowate, w dużéj tylko massie wydają lekki zapach, smak mają ostro-gorzki i tak mocny, że gran jeden w pół łyżce cukru utarty, goryczy swojéj złagodzić nie daje. Łodyga półtoréj stopy wysokości dochodząca, zakończoną jest gronem jednostronném kwiatów purpurowych, w kształcie pękatych naparstków, wewnątrz ciemno-nakrapianych. Ostrość téj rośliny, zależy od ostro-narkotycznego Alkaloidu, *Digitalinem* zwanego. W medycynie, liście w pierwszym roku zebrane, częste mają zastosowanie.

Inne gatunki: *Digitalis Epiglotis*, *D. ambigua*, i u nas w kraju rosnąca *D. Ochroleuca*, do mniéj ostrych trucizn należą.

Familja Jaskrowych (*Ranunculaceae*).

Ta familja zawiéra rośliny mniéj więcéj ostre lub podejrzane. Ostrość w wyższym bywa stopniu w korzeniach, aniżeli w liściach, jak naprzykład w Tojadzie (*Aconitum*), Ciemierniku (*Helleborus*). Bez zaprzeczenia do najjadowitszych z téj familji należą Jaskry, u nas w kraju w licznych gatunkach rosnące.

1. Jaskier jadowity (*Ranunculus sceleratus*) około pól, w rowach wilgotnych pospolity. Łodyga łokciowa, gruba, gałęzista, również jak liście tłustawo lśniąca; kwiaty małe, żółte; liście trzyklapowe; klapy trzydzielne. Roślina, na miazgę stłuczona i przyłożona do ciała, naciąga pryszcze, w uporczywe owrzodzenia przechodzące. Stający do rekrutskiego poboru, zwykle używają téj rośliny dla wywołania owrzodzeń, mających cechę zastarzałych.

Inne gatunki jaskrów: J. ostry (*R. acris*); J. pochyły (*R. Flammula*) do słabszych trucizn należą. Bydło przez sam instynkt omija jaskry ostre, pasąc się na łąkach.

2. Ciemiernik czarny (*Helleborus niger*). Rośnie w Grecyi i u nas na Podolu. Liście palczaste bez zapachu, smak ostry, w początku słodkawy, kwiat biały. Korzenie Ciemiernika, z kłąbia zbitego wyrastające, najbardziéj są jadowite.

3. Ciemiernik czerwonawy (*Helleborus purpurascens*); cechy botaniczne ma też same co poprzedzający; różni się od niego kwiatem czerwonym. Własności trujące ma w wysokim stopniu, jak i Ciemiernik czarny, przedewszystkiém w korzeniach.

Ciemiernik cuchnący (*Helleborus faetidus*) i Ciemiernik wschodni (*Helleborus orientalis*), przez p. Niewiadomskiego wspomniane, do mniéj ostrych trucizn należą.

4. Sasanka łąkowa (*Pulsatilla pratensis*). Roślina krajowa; rośnie na pagórkach. Łodyga włosista; liście dwa razy piérzaste; kwiaty zwisłe, ciemno-fioletowe, na wiérzchu odgięte, bez zapachu.

5. Sasanka dzwonkowata (*Pulsatilla patens*), na wiosnę w lasach sosnowych pospolita, w pospólstwie wyłącznie pod imieniem *Sasanki* znana. Głąbik jedwabisto kosmaty, przed liśćmi, na początku wiosny wyrastający; liście palczaste, tęgie; kwiaty wielkie, otwarte.

Oba Sasanki gatunki, należą do trucizn ostrych. Przy tłuczeniu na miazgę, ostra para działa gryząco na oczy, błony nosa i ust, sprawiając płynienie łez, mocne kichanie i katar. Ostrość zależy od Alkaloidu, we własnościach do kamfory zbliżonego, *Anemoninu*.

6. Powojnik prosty (*Clematis erecta*). Roślina pnąca się, na Podolu i Ukrainie dziko rosnąca. Liście piérzaste; kwiaty brudno białe, wiechowato ułożone. Liczy się do trucizn ostrych. Do Sasanek się zbliża.

7. Tojad Mordownik (*Aconitum Napellus*). W Szwajcaryi, Czechach i Szląsku dziko rosnąca, u nas w ogrodach do najpospolitszych ozdobnych kwiatów należy, *Kapturkami* zwana. Ogrodowa, przez niektórych botaników za osobny gatunek uważana, pod imieniem *Aconitum neomontanum*; u pospólstwa *Czarnobylem*, *złym Bernardynem*, *Mordecznikiem* nazywana. Roślina dwułokciowa, liście palczasto-dzielne, tęgie, lśniące; kwiaty kapturkowe, ciemno-fioletowe, długie grono formujące, bez zapachu. Korzeń bulwowy, do rzepy podobny, a ztąd od *Napa* (rzepa) ma nazwanie. Należy do trucizn narkotyczno-ostrych, gwałtownie trujących. Ostrość zawisła od Alkaloidu *Akonitinu*.

8. Tojad ostry (*Aconitum ferox*). W górach Himalajskich i koło Neapolu dziko rosnący, jest więcéj jadowitą rośliną od poprzedzającéj. Oprócz Alkaloidu Akonityny, zawiéra w swym składzie drugi trujący Alkaloid, *Napellinę*.

Familja Guttiferae.

1. Gummi Gutta (*Stalagmites cambogioides*). Drzewo w Indyach wschodnich rosnące. Otrzymuje się z tego drzewa sok gummo-żywicznéj natury, w handlu jako farba Gumiguta pospolity. Należy do trucizn ostrych, gwałtownie na przewód pokarmowy działających. Dziesięć gran gumiguty, dostateczne są do wzbudzenia krwawéj gwałtownéj biegunki, częstokroć śmiertelnéj.

Familja Makowych (*Papaveraceae*).

Rośliny do téj familji należące, przy nacinaniu lub przerwaniu, wydzielają z siebie sok biały lub żółty, w naczyniach właściwych, dość powierzchownie leżących, zawarty.

1. Mak lekarski (*Papaver somniferum*). U nas w ogrodach pospolity. Torebki wielkie, podługowate, pod znamieniem (pokrywka) całe, nie otwierające się, nasiona białe; kwitnie biało. Temi cechami różni się od drugiéj maku odmiany, pod imieniem *Widaku* znanego, któréj torebki pod znamieniem otwiérające się, znacznie mniejsze, nasiona we środku szare.

W krajach wschodnich, przez nacinanie torebek maku białego, otrzymuje się sok zgęstniały; póki świeży, daje się on palcami ugniatać—po pewnym czasie twardnieje, staje się nawet kruchym. Sok taki stanowi każdemu wiadome, *Opium*, w medycynie ze wszystkich lekarstw najczęściéj używane. Należy do trucizn narkotycznych, gwałtownie działających. Nadużycie samego maku, zwłaszcza u dzieci, nieraz przyczynia narkotyczno-upajające skutki. (*d. c. n.*)

PRZEGLĄD
piśmiennictwa polskiego.

Skrupuły, powieść *Kazimierza Chłędowskiego*.—**Niecnota** powieść przez *Zbigniewa*.—**Irena, czyli chrześcijanie za czasów Domicyana**, powieść przez *M. G.* — **Na cmentarzu — na wulkanie**, powieść *Kraszewskiego*.

(Ciąg dalszy).

Fantazya jego ukołysała się, uspokoiła niezmiernie. Nie rozprasza się w wybujałych porywach, niemniéj jednak zachowała energję i dzielność swoję, tém większą, że się opiera na gruncie realnym. Tym gruntem w „Niecnocie“, jest rzeczywisty stan jednego z zakątków ziemi naszéj, przed dwoma lat dziesiątkami. Nie wiémy, czy autorka czerpała swe opowiadanie z faktów istotnie spełnionych, to wszakże prawda, że jakkolwiek nie miała może zamiaru dawać, à la Dickens, całéj panoramy prowincyonalnych typów i stosunków, — miała głównie na uwadze interes psychologiczny i kwitnącą w zawiązku samej akcyi, ideę— jednakże wielokrotnie rzucała śmiało okiem na obrazy tamecznego poziomu moralnego, a bezwątpienia, akcyą całą osnuła na istotnych pierwiastkach stosunków dwóch warstw społecznych.

Tak jak w „Oksanie“, chciała uwydatnić nieprzebytą liniją demarkacyjną, pomiędzy bogatą szlachtą a ludem,—w „Niecnocie“ przedstawia podobny stosunek między pokoleniem pańskiém, a pokoleniem drobniejszéj szlachty i owéj szaraczkowéj służby gospodarskiéj, która jakkolwiek w oczach arystokracyi, stoi wyżéj jednym szczeblem od pogardzonego proletaryatu, nie ma prawa jednak bezkarnie przestąpić poza granicę, wzniesioną przesądami i egoizmem kastowym. Temat ten, obrabiany już wielokrotnie, nie raz arcy-szczęśliwie przez najcelniejszych naszych pisarzy, w powieści Zbigniewa pojęty został oryginalnie głęboko, oparty raczéj na nieméj wewnętrznéj walce charakterów, aniżeli na jaskrawéj intrydze, nastrzępionéj krzykliwémi scenami.

Autorka nie ustaliła swego kastowego przedziału, jak *np.* Korzeniowski w „*Żydach*“, w tak zacofanéj szorstkiéj formie, nie przedstawiła go jako twardą, fatalistyczną zaporę, o którą rozbijają się szlachetne usiłowania serc szlachetnych. Owszem; przy końcu powieści wykazała istotne, prawdziwe zwycięztwo cnoty, podniosłości i godności moralnéj, chociaż wyrosłéj na tym *szaraczkowym* gruncie, nad samolubném zaślepieniem rodowéj dumy. Jednakże zwycięztwo, jakkolwiek zupełne i stanowcze, jest ciężkie i krwawe. Miłość, poświęcenie, szlachetność, rozum, godność i energja duszy, musiały nieraz przechodzić przez tortury udręczeń moralnych, staczać Pyrrhusowe walki ducha, zanim zakosztowały słodkich jego owoców. Wszystko to stanie się jasném, gdy opowiemy zasadniczą treść utworu, ogołoconą jednak z jéj obfitych i rozległych ubocznych epizodów.



Posłowie.

W pieknéj włości Żmudzkiéj „Bójszegoły“, mieszkała pani Gesztorpowa, wdowa po podkomorzym, panu możnym i posiadającym popularność ogromną. Ta matrona, słynęła na całą okolicę „świętością“ swoją, pańską dystynkcyą i surową religijną powagą. Duma arystokratyczna, połączona z pewną ponurą dewocyą, osładzane tylko pewnym wykwintem towarzyskim, przyczém rozum niepospolity, uczyniły z niéj jedną z owych powag miejscowych, przed którą wszyscy kornie schylali czoła z uszanowaniem bezwarunkowém, ale raczéj przejętém pewnym odcieniem religijnego strachu, jak sympatyi, prosto z serca płynącéj. Jestto charakter, w ogóle prawdziwie i znakomicie skreślony. Autorka, umiała zarazem wycieniować go delikatnie, subtelnie i wyrysować jasno i wyraziście. Co więcéj, stworzyła postać nową—nie trącącą zbytecznie, ani owym faryzeizmem jezuickim, w jaki by ją ustroili mniéj głębocy pisarze, ani też chłodną i wymuszoną sztywnością. Niesłychanie umiejętnie uchwycony jest w téj damie, ton subtelnéj zimnéj powagi, który się przebija nawet w jéj miłosiernych uczynkach,—uchwycony jest nader trafnie cały stosunek blizkiego jéj otoczenia, które, nie wyjmując nawet syna, trzymane jest w przyzwoitéj, pełnéj uszanowania odległości. Bliżéj nieco może tylko szanownéj podkomorzyny, stoi jéj kapelan, członek pokornego bractwa Jezusowego, umiejący, zgodnie z doktrynami swego zakonu, dla swéj możnéj penitentki, pogodzić ortodoksyą katolicką, z całém poszanowaniem i czcią dla nietykalności dumy kastowéj. Jednakże i ten człowiek, wybrany z grona prze-

biegłych i chytrych agentów kościelnych, umiejących tak zręcznie wślizgiwać się w zakątki rodzinne i głębiny dusz człowieczych, aby zawładnąć jednémi i drugiémi, ten partyżant ultramontanizmu, w cichym zakątku świętéj Żmujdzi, niezdołał okiełznać energicznego w swym spokoju stanowczym ducha, i raczéj wpływowi jego często ulega. Mniéj nieco władzy ma Gesztorpowa nad swym dorodnym, dzielnym, eleganckim i wykształconym synem Witoldem. Jestto także postać arcy trafnie i arcy subtelnie, z wielkiém zamiłowaniem wykonana. Witold, jest jednym z owych męzkich charakterów, głębokich, czujących silnie, które raz zatloną namiętność długo noszą w głuchéj piersi, chociaż widocznie nie pokazują wewnętrznego cierpienia. Potężny w uczuciu, groźny i silny podczas wybuchów namiętności, nad któremi jednak dzielnie panować potrafił, gdy uznał to za konieczne, podkomorzyc, oprócz posiadania tylu wewnętrznych skarbów, był prawdziwym bogaczem zewnętrzności fizycznéj. Szlachetność i pańskość ruchów, piękne męzkie regularne oblicze, podbijająca siła spojrzenia, dawały całéj jego osobie wyjątkowy urok, który magnetyzował nader silnie i szybko serca niewieście. Wiele, bardzo wiele, mimowoli porwał on serc córom Ewy; wszakże ukochał on całą siłą swéj ognistéj duszy, jedną tylko—ekonomówne. Była to Natalja, córka Ryngajły, starego, wiernego sługi Gesztorpów domu, dziewica odpowiadająca mu bogactwem ciała i ducha pod każdym względem. Wychowana z nim razem w latach dziecięcych w domu Podkomorzych, potem ich kosztem odbierała wyższą edukacyą. Witold był na uniwersytecie zagranicą. Natalja, rozwinęła się znakomicie rozumem i sercem— nic też dziwnego, że te dwie wyjątkowe dusze, rozwinąwszy się w pełni życia zewnętrznego, poczuły ku sobie pociąg nieprzezwyciężony, że się spoiły jedném, silném, świętém ogniwem boskiego ognia miłości, która, na tak bujnym gruncie duszy, wyrosła w silną, głęboką i prawdziwą namiętność. Pod piórem Zbigniewa, namiętność ta błyszczy iście Szekspirowskim albo raczéj Sandowskim urokiem—porywa swoją prawdą i głębokością. Pod tym względem, nie wahamy się przyznać Zbigniewowi pokrewieństwa z wielką autorką „Mauprat'a". Posiada ona jéj ogień, szlachetność i skłonność do wyidealizowania szczególniéj charakterów niewieścich. Postać Natalji w téj mierze ma dużo owéj podniosłości moralnéj, męzkiéj energji Karoliny w „*Margrabim de Villemer*"—obok cichéj, nieméj siły, niewieściego zaparcia się siebie, skromności dziewiczéj i bohaterskiego poświęcenia.

Gdy wieść o téj miłości, przyniesiona usłużnemi usty ojca Anzelma, doszła do uszu pani Podkomorzyny, mądra kobiéta,—chociaż w najwyższym stopniu ubodło jéj dumę następne, wyraźne oświadczenie syna, że zaślubi ekonomówne,—wiedząc, z jakiémi ma do czynienia uczuciami, nie tamowała ich wyraźnym zakazem, ale postanowiła rozerwać Machiawelsko-Jezuickim podstępem, osnutym na wybornéj znajomości serca swego jedynaka. Przyzwala tedy pozornie na małżeństwo, pochwala zamiar rozgorączkowanego młodzieńca, ale zarazem żąda, niby dla wypróbowania jego uczucia, krótkiego chwilowego rozdziału, aby się przekonać, czy to uczucie silne i prawdziwe, czy też chwilowy wybryk bujnéj, rozhukanéj młodzieńczéj natury. Podkomorzyc tedy puszcza się do stolicy, rzuca w wir zabaw i świetnych znajomości, o których pisuje listy do swéj rodzinnéj wioski. W jednym z takich listów, przez lekkomyślność młodzieńczą, umieścił frazez, wystawiający na próbę zazdrość swéj kochanki. Na to tylko czyhała podkomorzyna—przywołała do siebie Natalją, zaczęła jéj przedstawiać, że Witold krępuje się daném słowem, odzywała się do jéj szlachetności, aby odstąpiła swego prawa. Szlachetna dziewica, tłumiąc w sobie boleść szarpiącą jéj duszę, przyrzeka zapomnieć o Witoldzie, ale gdy Podkomorzyna żąda od niéj fałszu, kłamstwa, zaparcia się uczucia, dla „*wyleczenia*" syna z ostatków miłości,—z oburzeniem odtrąca propozycyą takiego sercowego kuglarstwa. Powstaje ztąd scena drażliwa między panią i ekonomówną. Natalja musi opuszczać dwór Bojszogolski i osiada w miasteczku Kobryniu przy staréj krewnéj, pędzi życie samotne, poświęcone pracy domowéj i czytaniu, żyjąc z fundusiku zostawionego jéj przez starego, poczciwego ojca. Ten ostatni, zajmuje także dosyć obszerne i ważne miejsce w powieści, i byłby pewno niezłym typem gasnącego już dziś, starego pokolenia służby wielkich panów, gdyby autorka, chcąc być nadto dosadną i wyrazistą, nie popadła trochę w manjerowaną przesadę. Stary Ryngajło, jest jedném z owych indywiduów, co to całe swe istnienie nierozerwalnie sprzęgli z interessami domu, któremu służą. Jest on ideałem służbisty staréj daty, z epoki kańczuga i bata—wiernym jak pies, uległym jak wół, pokornym jak baranek, poczciwym, rzetelnym i sumiennym aż do przesady. Szorstka jego natura; ma jednak w głębi uczucia szlachetne jest czułym mężem, dobrym ojcem, a nawet, na dnie służalczéj duszy, spoczywa poczucie godności osobistéj człowieka. Powierzchowność jego silna, krzepka, okazała, rubaszna, barczysta— ozdobiona bujnym sumiastym wąsem, i kędzierzawą czupryną, odpowiada temu dobrze pomyślanemu charakterowi, który jednak chybiony został w wykonaniu, przez brak objęcia całości w określeniu pojedynczéj figury, jakieśmy zarzucali całéj, ogólnéj budowie powieści. Ryngajło, kiedy jest ekonomem i służalcem, to już takim „*zajadłym*," że nie domyślisz się pod jego ogorzałą skórą, ani ojca, ani człowieka, kiedy zaś jest ojcem, to nieraz tak czułym, że niepodobna myśleć aby mógł być takim służalcem. Jestto przesada cząstkowych znamion charakteru, szkodząca jego całości, wada właściwa pisarzom których byśmy *jaskrawymi* nazwali,—często nawet geniusze nie są od niéj wolni. (Victor Hugo—postać Joba w „*Burgrafach*"—Słowacki, Wojewoda w „*Mazepie*"). Zresztą postać ta, tylko w drugorzędnych występująca scenach, od drugiéj połowy powieści, znika zupełnie z oczu.

(*d. c. n.*)

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

(*Ciąg dalszy.*)

Pani Mush siadła nie odpowiadając. Zimę przepędziła u pani Steele, gdzie ją dręczono tak, iż życie jéj zbrzydło; na pierwsze wezwanie Kennedego popędziła do wygodnego i miłego pobytu w Saint-Vincent, a tu jéj wymawiają że tak długo odkładała wizytę! Ale życie w ubóstwie nauczyło panią Mush unikać zbytniéj otwartości, nic więc nie odpowiedziała na zarzut Sybilli.

— Cóż się z tobą stało, moje dziecko? Źle wyglądasz—rzekła do niéj.

— Trochę byłam słaba.

Pani Mush słyszała o hrabi Renneville i na jego karb policzyła zmianę, jaką napotkała w Sybilli.

— Przywożę nowinę, wielką nowinę! rzekła wesoło.

Sybilli serce bić zaczęło. Może o nim? Bystro spoglądała w oczy pani Mush.

— Tak, wielką nowinę. Twoja ciotka, miss Glyn, nareszcie osiągnęła cel swojéj ambicyi. Wyuczyła się jak obracać kapitałami, i ma się osiedlić w pobliżu Saint-Vincent, dla prowadzenia spekulacyi. Będzie solić śledzie, masło i hurtownie je sprzedawać. Ma kilka tysięcy funtów sterlingów — dodała pani Mush z westchnieniem, bo sama miała tylko kilkaset — i naturalnie stara się ich pozbyć.

— Mnie to martwi, rzekła Sybilla.

— Tylko jéj tego nie mów, moja droga. Jest pewna siebie. Ale cóż to, niegodziwa, nie poznajomisz mnie z panną Cains?

Sybilla zmieszała się, Blanka bowiem siedziała na uboczu, jakby obrażona; teraz jednak przybliżyła się z uśmiéchem. Pani Mush badawczy wzrok w nią utkwiła, jakby starając się odczytać jéj charakter. Powłoczyste, niebieskie oczy, spokojny uśmiéch, wdzięk w obejściu, zaskarbiły sobie jéj łaski; przestała badać, a zaczęła szczebiotać i śmiać się; Sybilla tymczasem wydała rozkazy co do jéj przyjęcia.

Przyjazd pani Mush bardzo był dla niéj nie wporę; trzeba było smutek jeszcze bardziéj zamknąć w piersi. Powoli upływały godziny dnia tego. Umilkły wreszcie nieustające rozprawy pani Mush i wesoły śmiéch Blanki, a Sybilla wolniéj odetchnęła, gdyż została sama. W ciszy pokoju swego znalazła więcéj niż się spodziewała, nietylko swobodę oddania się swemu smutkowi, ale i zastanowieniu. W istocie, czyż dobrze było z jéj strony oddawać się tęsknocie za człowiekiem, który jéj nie kochał, który jéj nigdy kochać nie będzie? Była możliwość, ale znikła bezpowrotnie; a duma i rozsądek nakazywały jéj otrząsnąć się z próżnych żalów. Uspokojona takiémi uwagami i modlitwą, późno w noc zasnęła nareszcie. Spała długo i mocno. Gdy obudziła się, ujrzała Blankę stojącą przy łóżku, ubraną już, świetną, wesołą i piękną! do oczarowania.

— Blanko, jakżeś piękna zawołała Sybilla.

— Doprawdy?

— Wyglądasz tryumfująco, szczęśliwie.

Miss Cains z zadowoleniem przejrzała się w zwierciedle.

— Tak, nieźle wyglądam:—ale czas wielki, wstawaj, pomogę ci się ubierać.

Sybilla przyjęła ofiarę. Ranek był chmurny i cichy. Ztajał ostatni przymrozek, zbliżała się wiosna. Wietrzyk lekki osuszał ziemię, nie szkodząc kiełkującéj roślinności. Sybilla była cicha i smet-

na jak ten poranek, co kontrastowało mocno z niezwyczajną wesołością Blanki.

— Nie wiem sama zkąd mi to usposobienie — mówiła panna Cains. Dawno już nie czułam się tak wesołą. Spodziewam się że nic takiego mnie nie spotka, to jest, nic złego—dodała poważnie—toby było gorzkie przebudzenie, prawda Sybillo?

Zaledwie wyrzekła te słowa, weszła Deniza do jadalni, gdzie obie panny czekały na panią Mush, i podała list Blance. Miss Cains zbladła nieco, obracając go w ręku.

— To z Anglji, rzekła, i boję się że zawiera jaką złą nowinę. Deniza wyglądała jak uosobione przeznaczenie.

— Czytaj Blanko.

— Tak zrobię, tylko ja lubię domyślać się. O czém ten list być może? Może ciotka umarła i pozostawiła mi dawno obiecaną sukcesyą? Ale nie, pieczątka nie czarna. Więc to od jakiéj przyjaciółki, lub od kogobądź ofiarującego mi miejsce za czterdzieści funtów sterlingów rocznie. Pewno to coś takiégo.

Sybilla zarzuciła jéj ręce na szyję,

— Nie przyjmiesz? prawda? nigdy mnie nie opuścisz?

— Rozumié się—nawet chociażbyś wyszła za mąż—odpowiedziała panna Cains z niejaką goryczą.

Sybilli przyszedł na myśl okręt szybujący teraz po oceanie i chmura zasępiła jéj oblicze.

— Nigdy nie pójdę za mąż—powiedziała.

— Przypuszczam to — rzekła miss Cains — ale, choć to nie prawdopodobne, przypuśćmy także, że znajdzie się jaki szaleniec i ożeni się ze mną?

— Jeżeli ty pójdziesz za mąż—odpowiedziala Sybilla, osiądę obok ciebie i będę ci pomagać w gospodarstwie domowém. Ale przeczytaj list.

Panna Cains zerwała pieczątkę i przeczytała list dwa razy, potem wręczyła go Sybilli i poszła wyglądać oknem na ogród.

— I Sybilla dwa razy list przeczytała, choć wystarczyłoby raz na jego zrozumienie. Był od kuzyny panny Cains i donosił, że jéj ciotka, Miss Mary Cains, była niebezpiecznie chorą i żądała koniecznie jéj przybycia. List był krótki zresztą, nalegano tylko o pośpiech.

Sybilli ścisnęło się serce.

— Musisz jechać—rzekła.

— Powiedz, żebym została, a zostanę!—zawołała Blanka, czule ją ściskając.

— Musisz jechać—rzekła znowu Sybilla; – tylko, Blanko, kiedy powrócisz?

— Otóż to!—jak raz tam pojadę, nie będę wolna... Ale będę się starać, moje kochanie!

— Rachuję na to, rzekła Sybilla—a pewno zaraz będziesz musiała jechać?

— O, nie dziś jeszcze—odpowiedziała panna Cains.

Nie dziś, to się znaczyło jutro. Sybilla z trudnością pokrywała swoje zmartwienie, ale nie chcąc zasmucać przyjaciółki, uśmiechnęła się do niéj i rzekła:

— Może ci w czém dopomódz?

— Dobrze, pójdź do mego pokoju—zobaczymy.

Poszły do pokoju miss Cains, wypróżniły kufer i Sybilla zabrała się do szycia na cały dzień.

— Wstydzę się, że cię tak obarczam—rzekła miss Cains—ale u ciotki nie będę miała i chwili wolnego czasu.

— Rozumié się—zresztą tak mi przyjemnie, że mogę pracować dla ciebie.

Cały dzień obie przyjaciółki przepędziły ze sobą przy robocie. Sybilla szyła bezodpoczynku. Blanka niespokojna, dziesięć razy brała się do roboty i po chwili odrzucała ją niecierpliwie. Gdy nastał zmrok złożyła i Sybilla swoję robotę i rzekła:

— Teraz Blanko, siadaj przy mnie, pogadamy trochę ze sobą.

— Musimy zejść na dół—odpowiedziała Blanka—pani Mush się obrazi.

— Nie obrazi się—rzekła niecierpliwie Sybilla.

— Moja droga, nie należy mi odstręczać pani Mush jeżeli mam tu wrócić kiedy.

Sybilla musiała przystać na argument, choć jéj przykro było, że ostatniego wieczora nie może przepędzić ze swoją przyjaciółką. Im bardziéj zbliżał się czas jéj odjazdu, tym większym smutkiem przejmował Sybillę: zdawał się być dla niéj zapowiedzią jakiéjś nowéj klęski. Szczęście czasem, podobne bywa do sznurka pereł kosztownych; gdy się zerwie nitka, która je wiąże, rozsypują się na wszystkie strony, gnane ręką przeznaczenia. Czuła to Sybilla, że z nią dzieje się teraz coś podobnego: nitka drogocenna zerwała się i perły jéj szczęścia rozpraszały się jedna za drugą, zostawiając ją samą, ubogą, opuszczoną. Tak przynajmniéj w młodzieńczéj przesadzie wyobrażała sobie swój los.

Miss Cains mając jutro wcześnie odjechać, rychło spać się położyła. Ale Sybilla nie mogła zasnąć; zbyt przepełnione miała serce, a wycie wichru ostatecznie ją ze snu wybiło. Burza zerwała się w nocy z całą potęgą. Strasznie musiało być na morzu! Co się tam dziać mogło z okrętem *Mountain Fairy?* Miss Cains rano zaczęła łajać Sybillę, ujrzawszy jéj twarz bladą.

— Nie spałaś widzę? rzekła surowo.

— Nie, burza spać mi nie dała.

— Nic nie słyszałam. Była więc burza? To nie dobrze, będzie kołysanie morza.

Zaledwie skończyło się śniadanie, dano znać że pojazd czeka przed gankiem. Sybilla i pani Mush ofiarowały się odprowadzić Blankę aż do parostatka pocztowego, ale Blanka stanowczo się temu oparła. Przestrzeń była za wielka, a Sybilla niezupełnie była zdrowa.

— Pewno już czas na mnie—rzekła miss Cains podnosząc się.

— Przejdźmy się jeszcze po ogrodzie, rzekła Sybilla.

Wzięły się pod ręce i poszły. Ranek był cichy, ale posępny. Słońce skryło się za chmury, zaledwie kiedy niekiedy rzucając blady promyk. Scieżki w ogrodzie pełne były śladów minionéj burzy, mianowicie, młodych zielonych gałązek, wichrem złamanych.

— Nie wiém dlaczego tak mnie twój odjazd przestrasza—rzekła Sybilla. Wiém że wrócisz, a coś mi szépcze do ucha, że nie.

— Czy mam ślub uczynić? zapytała Blanka.

— Nie, ślub wiązałby twoję wolę, o której nie wątpię. Mnie chodzi o związanie Przeznaczenia, czyli mówiąc po chrześcijańsku, *okoliczności.*

Wróciwszy przed dom, miss Cains spojrzała na zegarek.

— Dlaczego patrzysz? jeszcze czas — rzekła Sybilla. Czy ci tak spieszno mnie porzucić?

— Nie, moja droga, ale już czas na mnie. Mimo to, zróbmy jeszcze mały spacer.

Poszły znowu ku końcowi ogrodu. Sybilli łzy toczyły się po policzkach.

— Trzeba nam było lepiéj pożegnać się odrazu, —rzekła Blanka.

— Tak, prawda,—odpowiedziała Sybilla.

Doszedłszy do domu wyszły na ganek, przed którym pojazd czekał.

— Trzeba się więc rozstać! — rzekła miss Cains pośpiesznie. Żegnam panią, pani Mush; żegnam cię Sybillo — pocałuj mnie raz jeszcze i bądź zdrowa!

— Bądź zdrowa, na zawsze—łkała Sybilla — czuję to, że na zawsze! O Blanko, Blanko, czemu mnie porzucasz?

Rzuciła się w objęcia przyjaciółki i nie chciała jéj puścić.

Miss Cains zbladła, odwróciła twarz i, drżąc, starała się od niéj uwolnić.

— Pani Mush! weź ja pani,—błagała. Puść mnie, droga! Powiadam ci, że jeżeli nie umrę, to powrócę. Bądź zdrowa!

Pani Mush pociągnęła ku sobie płaczącą Sybillę, miss Cains wskoczyła do pojazdu, wyjrzała raz jeszcze z niego i.... opuściła Saint-Vincent. *(d. c. n.)*

WIENIEC.

— Już niejednokrotnie podnoszono u nas głosy przeciw—*marnotrawieniu czasu.* Na nieszczęście, marnowanie czasu idzie tu zawsze ręka w rękę z jakąś usłużną, humanitarną lub w ogóle kosmopolityczną kwestyą. Zapytani, dlaczego nic nie robim, zawsze znajdziem gotową odpowiedź, że przecież nie próżnujemy... że mamy Towarzystwo Dobroczynności, kuchnie tanie, stowarzyszenia muzyczne, filantropijne i inne tym podobne. Właśnie, że to nie jest jeszcze dowodem pracy społecznéj! Pracę rozumiémy tylko—w ognisku domowém w rodzinie; w nauce i w przemyśle. Tego właśnie nie widać jeszcze. I nieprędko zapewne powitamy u siebie ideał pracy rzeczywistéj, bo umysł nasz jest jeszcze dziwnie gnuśny i niewyrozumiały na własne swe dobro. Czujemy, że nam niedobrze, że biéda naciska, kłopotów mnóstwo, wyjście z tego ciężkie, a pomimo to czekamy Bóg wié na jakie czasy złote, miodem i mlekiem płynące. Ztąd kierunku wychowania domowego nie mamy żadnego. *Realność* i *praktyczność* nie przeszły jeszcze w krew naszę—i dziwić się też nie można opóźnieniu w kulturze powszechnéj. Że będzie le-

piéj, nie wątpimy; że będziem umieli pracować, że drugich dościgniem, nie wątpimy także. Tylko zabierzmy się do pracy wcześnie, energicznie, trzeźwo, gorąco a tłumnie. Mamy dziś już pism niemało do pomocy: przewodniczą nam serdecznie, ciepło i szczerze—korzystajmy więc z ich plonów, korzystajmy z każdego pyłku wiedzy i nowości—pytajmy je o rady, komunikujmy się często i otwarcie, nie zostawiajmy żadnéj wątpliwości za sobą, szukajmy dróg, zasad, maksym, myśli, wskazówek,—szukajmy środków i stosujmy je do potrzeb, — wprowadzajmy je w życie, w czyn i pracę powszednią... a może się otworzy przed nami szerokie państwo światła, pracy i życia treściwego, dającego byt szczęśliwy. Rosnąca z dnia na dzień prenumerata pism naszych, zaczyna wlewać w nas tę słodką nadzieję, że społeczeństwo nasze pójdzie za tym przykładem prasy naszéj, oceni i zrozumié jéj cel szlachetny i oprócz poparcia serdecznego, okaże jeszcze i czyn, okaże próby pracy i zabiegliwości na drodze postępu i bytu rzetelnego. Dobre i humanitarne z natury usposobienie nasze, cudów dokazaćby mogło na téj drodze. Dalecy od samolubstwa, od chciwości i zawiści drapieżnéj, będziem stanowili społeczność szanowaną przez złych i dobrych. Reformę tego odnowienia moralnego, zacznijmy od wychowania domowego—to *serce* organizmu społecznego! Przedewszystkiém zacząć nam zależy od *religji* i *pracy*. Te dwa czynniki niech zapełnią cały program wychowania. Bądźmy szczerzy w religii, a jeszcze szczersi w pracy; mówię „szczersi" w pracy, bo w téj pono najwięcéj mamy zaległości. Słuchajmy rad, jakie nas z pism i dzieł naszych dochodzić będą,— czytajmy, wertujmy wszystko—przenośmy to zaraz na nasze i dzieci naszych, potrzeby. Niech nieraz drobne rzeczy nie wydają nam się zbytecznémi, bo i w nich nieprzeliczone tkwią pożytki. Czém stanęła Anglia, czém Belgia, czém stoją Niemcy, jeźli nie tém skrzętném i zamiłowaném zbieraniem maluczkich z pozoru, drobiażdżków życia praktycznego? Narody te nie gonią wcale za szumnémi rozprawami o bycie społecznym — mówią mało, deklamują mało; ale biorą wszystkie okruchy nauki i wiedzy z wiarą dobrą i chwały godną. Nam, małe, drobne prawdy i wskazówki życia lub wychowania, wydają się niczém, a tam narody owe robią z nich kapitał wiedzy i bytu. *Tylko połowiczna oświata wstydzi się swych potrzeb - i ten wstyd fałszywy jest największym grzechem naszym!* Nie pomijajmy i nie osłaniajmy sobie mimowolnie wad i słabości naszych, bo ten wstyd, nie da nam w końcu spojrzéć z spokojném sumieniem w oczy cywilizacyi. Bierzmy się więc za ręce do pracy—pomagajmy sobie szczerze w każdéj kwestyi. Zacznijmy zaś od sprawy najżywotniejszéj, sprawy, w któréj leży ognisko życia społecznego, od sprawy mówię, z któréj jak ze słońca powinny tryskać promienie światła, ciepła i życia: od sprawy *wychowania domowego* i *pożycia domowego!* Któżbo nie wié lub nie przeczuwa instynktowo, że od tego początku zależy materyalna i moralna wartość społeczeństwa? Wychowaniu zaś, niechaj przyświeca *wiara* i *praca*. Wszyscyśmy do pracy stworzeni; bez niéj nie ma wiedzy i pożytku, bez niéj nie ma powagi i sławy. Tylko ten jest godzien być naszym sąsiadem, kto jest czynnym umysłowo i fizycznie i kto idzie za przykładem przyrody, gdzie całe stworzenie w ustawicznym jest ruchu. Nie szemrajmy więc, jeśli nam w pocie czoła pracować wypadnie— bez trudu niéma powołania i obowiązków na świecie i tylko jeszcze pracą i trudem odwrócim klątwę wieków ciążącą na naszéj oświacie. Szanujmy czas, bo mamy go od Boga na to tylko, abyśmy z niego korzystali wszechstronnie; do każdego powołania i obowiązku, czy publicznego, czy prywatnego, przygotowujmy się z radością, oceniajmy jego wartość i poświęcajmy mu się z wierném sercem. Na czémże polega spokój? na czém przyjemność i uciecha ziemska?—tylko na *pracy*. Praca jest jedyném lekarstwem na ciężary i klęski życia. Kto po ciężkich zgryzotach i cierpieniach dużo pracować musiał, ten umorzył większą połowę strapienia.

Pracuj tak, abyś mógł umrzéć spokojnie każdéj godziny!

— Jak ludzie zapełniają wszystkie luki w oświacie i rozwoju społecznym, mamy nowy dowód w stowarzyszeniu kobiét-nauczycielek w Berlinie. Celem stowarzyszenia tego jest podnieść stan nauczycielski między kobiétami, i iść w pomoc tym, które albo się zabierają do tego stanu, albo będąc już nauczycielkami, nie mają jeszcze zapewnionego sobie bytu materyalnego. Głównym atoli celem tego stowarzyszenia mają być: wykłady i odczyty pedagogiczne, wzajemna wymiana myśli w sprawie kobiecéj, nauka obcych języków, kwestya ochronek, ogródków i zajęć dziecinnych, otworzenie czytelni Każda z tych kwestyj ma osobną komisyą, przerabiającą gruntownie przedmioty swego zakresu.

Podobne stowarzyszenie nauczycielek istnieje także w Dreznie od lat sześciu, pod nazwą *kółka pedagogicznego*. Główném zadaniem tego kółka jest prawie wyłącznie sprawa wydawnictw dla młodzieży: cel to niesłychanéj doniosłości! „Co dać czytać dzieciom naszym?" jest ważna kwestya pedagogiczna, którąby się powinna znajdować na piérwszym planie wychowania. Temat ten potrzebuje obszernego wyjaśnienia i Opiekun Domowy nie omieszka podać go pod bliższe rozpatrzenie swoich czytelników. Dziś, kiedy młodzież naszę jeden z wydawców niesumiennych truje pokarmem brudnych powieści, znanych już z osławionych tytułów swoich,—dziś mówię, czas pomyśléć nad nową i czystą strawą dla młodzieży. Co zaś dotyczy wydawnictw podobnych, to jedyném na nie lekarstwem, jedynym sposobem powstrzymania i złamania téj fali piekielnéj, może być—publiczność sama. Wzgardzić tą nikczemną spekulacyą księgarstwa zaułkowego i wyrzucić z domu to, co się jeszcze może błąka po szufladach i toaletach naszéj młodzieży, oto jest to, czego się po ojcach, matkach i opiekunach spodziewać możemy, w obec przemysłowców polujących tak bezkarnie na czystość naszych dzieci. Sumienie tych ludzi twarde, jak kamień i elastyczne, jak policzek galerników—mamyż ich więc tuczyć dalej i podniecać prenumeratą do zastawiania pułapek na szczęście przyszłego społeczeństwa?

— Szczególny, średniowieczny sposób zawierania małżeństw, ma się jeszcze aż dotąd praktykować w Neapolu. W jednym z tamtejszych domów podrzutków, zgromadzają się raz do roku, d. 5 Marca, młode dziewczyny, w pięknéj, wspaniałéj sali, do któréj wtenczas także i młódź męzka ma przystęp otwarty. Jeśli tedy któremu z młodzieży spodoba się jaka piękna dziewica, upuszcza przed nią chustkę; chustka ta, jeźli podjętą zostanie przez dziewczynę, znakiem jest, że młodzieniec się podoba. Małżeństwa takie mają być prawie wszystkie szczęśliwe (?).

— Zdanie pewnego Hindusa, mieszkańca Indyj Wschodnich o kobietach europejskich: Francuzki, lubią mężczyznę z otwartém, szerokiém czołem i swobodą w całém spojrzeniu. Niemka woli męża miłego w obejściu i stałego w daném słowie. Niderlandka lubi tylko tego, kto cicho siedziéć umié i o wojnie wiedziéć nie chce. Hiszpanka woli takiego, coby się i za nią i za siebie pomścić potrafił. Włoszka przepada za marzycielem. Rossyanka kocha tylko Rossyanina. Dunka pragnie siedziéć w domu i o podróżowaniu słyszéćby nie chciała. Angielka przenosi nad wszystko *gentlemena*, znajdującego się w łaskach u dworu, lub potentata jakiegobądź,—lubi zresztą każdego pochlebcę. Amerykanka nie przebiera — idzie za pierwszego lepszego (lub gorszego)—nie troszczy się ani o rangę, ani o tytuł, ani wreszcie o ludzi w ogóle,—wybiéra z nogami i bez nóg, z garbem i bez garbu, ślepego, głuchoniemego, starego, konającego.... byle miał pieniądze.

Polki musiał uważać ów Hindus za arcywzór kobiét, bo o nich nie wydał zdania żadnego...

— W prowincyi Massachussets (w jednéj z republik Stanów Północnéj Ameryki), czterech chłopaków ukamienowało 20-to letnią nauczycielkę Ettę Barsten. Otóż znowu nowa próbka, nowy owoc postępu amerykańskiego! Niema dnia, gdzieby nas nie dochodziły smutne wieści tego rodzaju z téj nowoczesnéj Grecyi... Dla tych, co znając Amerykę tylko z posłuchów, pragnęliby opływać w jéj swobody, nie od rzeczy będzie może przypomniéć, że po zniesieniu religii w państwie i szkole, z 38 milionów Amerykan północnych, 10 milionów przyznaje się jeszcze tylko do Boga, a reszta t. j. 28 milionów (!) żyje bez religji, czyli (mówiąc językiem reformistów tegoczesnych) podług kodeksu „*cywilizacyi i moralności*". I czemuż już nie cywilizacyi saméj? — czemuż plątać jeszcze i moralność? Za lat parę, będzie ten dodatek „*moralność*" niepotrzebny wcale przy wyrazie „*cywilizacya*"... Galopujemy nie na żart. Ale pozwólmy się reformować spokojnie. Przyjdzie czas, że ludzkość, uzbrojona od stóp do zębów rewolwerami, zatęskni serdecznie do religii, téj jedynéj matki i siostrzycy cywilizacyi. Ci, co się dziś tak brutalnie z religią obchodzą, dają smutne dowody, że jéj nigdy nie mieli i że wychowanie ich odbyło się bez tego czynnika ważnego. Ludzi takich można i należy mieć więc za wytłómaczonych...* Kto nie miał sposobności szukać pociechy w gorącéj modlitwie i rozprawie z Bogiem, ten o ważności i nieocenionym wpływie religii pojęcia miéć nie może. Nie dziwię się też tym ludziom, że przeczytawszy z mozołem Darwina lub Moleschota, dyktują światu reformy, bo czują, że im brak czegoś... tylko tego *czegoś*, albo nazwać nie umieją, albo się nazwać wstydzą, ażeby nie uchodzić za zacofanych... kłopot, zaiste, jak na „uczonych", dosyć komiczny.

— O środkach podnoszących wdzięki kobiety, mówi jedno z pism zagranicznych: „Niewymuszoność, niewinność i wesołość bez sztucznéj podniety, czynią twarzyczkę kobiéty idealnie piękną. Chłodek poranny i słonko wschodzące rozleją najśliczniéjszy karmin na jéj ustach. I ta żywość pełna wdzięku i uroku, co nas pociąga tak rozkosznie ku sobie, odzyska znowu panowanie swoje, jeśli się płeć piękna kłaść będzie wcześnie spać, w karty grać przestanie, a przy lampie lub świecy romansów czytać nie będzie. Nocne zabawy i trawienie czasu nad ramotkami błahémi, nadaje twarzy kolor pergaminu, gasi wzrok, zostawia brózdki po licu, a ciału nerwy podcina".

☞ **Spis przedmiotów** za rok 1871 i **tytułowa karta** „Opiekuna," zostaną rozesłane wszystkim **przeszłorocznym** prenumeratorom naszym, stosownie do ogłoszenia niedawno zamieszczonego, przy wyjściu przyszłego czyli 6-go numeru.

☞ Patrz Dodatek.

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor, Bogumił Aspis